

Opinie

„Od lat polityka sowiecka głosi hasło współistnienia. Słowo to ma oczywiście podwójne dno. Ma bowiem naprawdę znaczyć tylko tyle, że Zachód musi unikać wszystkiego, co by mogło urazić Sowiety, ale Sowiety mogą całkiem swobodnie rozwijać swoją dywersję gdzie zechcą, byle nie uciekały się do jawnych działań wojennych przy użyciu własnych wojsk. Ten stan rzeczy uzyskał w polityce i w całej niemal prasie Zachodu milczące uznanie, jak gdyby prawo obywatelstwa. Uważa się go niejako za zjawisko przyrodzone, z którym trzeba się koniecznie godzić, bo nie można na nie zaradzić, coś jakby cyklony, wybuchy wulkanów, lawiny, itp.”

Adam PRAGIER



Europejski
Karabach

str. 3



Wałesizm

str. 4-6



TYBET

str.10

SOLIDARNOSC WALCZĄCA



TYGODNIK NR 53 - 54 (269 -270) ROK IX 01 - 14 styczeń 1991 cena 1000 zł

Natychmiast po wygraniu wyborów L. Wałęsa przystąpił do wykonywania, już po raz kolejny, swojej osławionej wolty. W kąt poszły przedwyborcze obietnice. Zamiast politycznego przyspieszenia Wałęsa proponuje odroczenie o rok wyborów. Przyspieszenie gospodarcze ma wykonywać stary aparat, w którym pierwsze skrzypce powierza się L. Balcerowiczowi. Wałęsa bez chwili wahania wraca do koncepcji (i ludzi), które porzucił i zwalczał przez blisko pół roku. Wola głoszących, opowiadających się za szeroko reklamowanym przez obóz Wałęsy przyspieszeniem, została po raz kolejny zlekceważona. Nabici w butelkę wyborcy ze zdziwieniem spoglądają na przetasowania na szczytach. Powstaje rząd przejściowy z powolnym Wałęsą premierem i wszechwładnym w sprawach gospodarczych Balcerowiczem

Wiele działo się na politycznej scenie w ciągu ostatnich tygodni. Najciekawsze rzeczy rozgrywały się, zgodnie z niechlubną tradycją ostatnich miesięcy, za kulisami. Desygnowany przez Wałęsę, jeszcze przed II turą wyborów, na stanowisko premiera Jan Olszewski został zmuszony do rezygnacji. Miał niewybaczalną wadę —

pragnął pozostać niezależnym politykiem i stworzyć rząd przełomu, mogący wyrwać Polskę z marazmu spowodowanego cząstkowymi i niekonsek-

„Jestem za, a nawet przeciw”

wentnymi posunięciami rządu Mazowieckiego. Wałęsa chciał jednak inaczej. Domagał się stanowiska wicepremiera dla Balcerowicza i umożliwienia mu obsadzenia wszystkich stanowisk związanych z gospodarką. Ponadto żądał pozostawienia na stanowisku ministra MON, związanego z Moskwą, Kołodziejczyka. W czasie gabinetowych spotkań kandydat na premiera poinstruowany został przez specjalnie przybyłego do kraju Jana Nowaka Jeziorańskiego o konieczności pozostawienia Balcerowicza, ponieważ uczestniczył on w podpisywaniu nieujawnionych dotychczas umów z kapitałem zagranicznym, reprezentowanym przez Banki Rockefelera i Rotschilda. Balcerowicz gwarantuje ich pełną realizację. Kandydata na premiera nie poinformowano o treści obowiązujących go, choć mu nieznanach uzgodnień (?).

Lech Wałęsa jest zręcznym politykiem. Jego telefoniczne i bezpośrednie rozmowy z A. Walentynowicz, A. Gwiazdą, M. Jurczykiem i S.

Jaworskim oraz telefonicznie przekazane życzenia K. Morawieckiemu i R. Kukółowiczowi świadczyć mają o jego otwartości i woli współpracy, także z politykami o odmiennych zapatrywaniach. Niestety, są to

jedynie gesty. Po raz kolejny przekonali się o tym ci, którzy poparli go w ostatnich wyborach mając nadzieję, że odrywają go w ten sposób od różnych mniej lub bardziej czerwonych, najczęściej warszawskich politycznych kameleonów.

Wałęsa pozostał sobą. Tak jak zapowiadał w czasie przedwyborczego wiecu w Poznaniu, w południe zapomina o czym mówił rano, a wieczorem robi coś zgoła odmiennego. Nie czuje się związany jakimikolwiek wyborczymi przyrzeczeniami. Wybory wygrał obiecując szerokie zmiany. Teraz, gdy poparcia społecznego chwilowo nie potrzebuje, wrócił do polityki krętałów, szwindli i kompromisów z ludźmi, których społeczeństwo odrzuciło. Taka polityka, przynajmniej chwilowo, wyniosła go na szczyty. Czy podobnie będzie z Polską?

Red.

Pan Marek Arpad Kowalski
Redaktor Naczelny
„Najwyższego Czasu”
Warszawa

W redagowanym przez Pana piśmie „Najwyższy Czas” (nr 33 z 17 listopada) Pan Janusz Korwin Mikke w artykule „Lewica w wyborach” zarzuca Sztabowi Wyborczemu Kornela Morawieckiego próbę fałszowania dokumentów, szalbierstwo itp., w związku z oddaleniem przez Sąd Najwyższy zaskarżenia przez ten Sztab decyzji Państwowej Komisji Wyborczej odmawiającej zarejestrowania Kornela Morawieckiego jako kandydata na Prezydenta RP. JKM pisze również: *swoje przekonanie, że sztab p. Morawieckiego podpisów nie zebrał, opieram na dziwnej przesłance: już na trzy dni przed 25 października mówiło się u nas, że jeśli sztab p. KM nie zbierze podpisów, to i tak zanieś tyle, ile ma — i oskarży Komisję o oszustwo.*

Czytelnikom „Najwyższego Czasu” należy się parę faktów, których JKM nie podał. Otóż Sztab Wyborczy KM twierdzi, że 24 października dostarczył do siedziby Państwowej Komisji Wyborczej 102 tysiące podpisów. PKW odmówiła rejestracji Kornela Morawieckiego, twierdząc, że według jej obliczeń podpisów jest 79 917. Sąd Najwyższy w trakcie rozprawy przeliczył podpisy: doliczył się 72 261. Stwierdził również wiele uchybień w pracy PKW, w tym i fakt, że listy z podpisami popierającymi KM, po ich przyjęciu przez PKW, przebywały ponad jedną godzinę poza jej kontrolą (!).

Sąd Najwyższy nie rozpatrzył także różnicy, jaka zaistniała pomiędzy liczeniem PKW, a liczeniem Sądu Najwyższego. Różnica ta wyniosła 7 656, czyli ok. 10%! Co się stało z tą różnicą, kto to sfalszował? Nie wiadomo. Może i tą tajemnicę rozwikła p. JKM i oskarży PKW lub Sąd Najwyższy o fałszerstwo. Ktoś bowiem musi się mylić!

W drugiej części swojej enuncjacji p. JKM pisze o „dziwnej przesłance”. Rzeczywiście jest ona bardzo dziwna. JKM wie, co może się wydarzyć! Dyskretnie jednak milczał — dlaczego? JKM pisze również: „mówiło się u nas”. O kogo chodzi? Posługując się również plotkarskimi metodami (UPR - Unia Plotkarzy Rzeczypospolitej?), wzorem JKM mogę powołać, że kilka lat temu w środowisku moich znajomych mówiło się, że JKM ma powiązania z kontrwywiadem wojskowym, ponieważ głoszone wówczas przez niego poglądy (kapitalizm + uznanie ówczesnych władz) są na rękę pragnącej się uwłaszczyć władzy. Było to o tyle podejrzane, że np. Liberalno - Demokratyczna Partia „Niepodległość”, głosząca program liberalno - konserwatywny i nieuznawanie ówczesnych władz, była zaciekle zwalczana i prześladowana.

Jest to, oczywiście, plotka, którą upubliczniam stosując takie same, plotkarsko - dedukcyjne metody jak JKM. Są one stosowane z upodobaniem przez asów tego typu publicystyki jak pp. Urban i Atlas. Czyżby JKM równał się do nich?

Uważając JKM za człowieka prawicy, czyli człowieka prawego, mam nadzieję, że przeprosi on Czytelników „N.Cz.” za wprowadzenie ich w błąd, a Sztab Wyborczy Kornela Morawieckiego — za krzywdzące pomówienia.

Licząc na to, że Pan Redaktor opublikuje niniejszy tekst, do czego obliguje Go moje prawo do repliki.

Z poważaniem

Zbigniew JAGIELLO

(W czasie kampanii prezydenckiej pełniłem obowiązki szefa Sztabu Wyborczego K. Morawieckiego)

P.S. Z tekstem p. JKM miałem możliwość zapoznać się, niestety, dopiero po opuszczeniu szpitala, stąd też moja opóźniona odpowiedź.

Dość już więźniów politycznych!

Historia kraju, w którego kalendarzu politycznym jest Dzień Więźnia Politycznego jest rzeczywiście straszna. Miliony ofiar systemu komunistycznego wzywają do skruchy. Krew znajduje się nie tylko na rękach oprawców mordujących przez 73 lata dla zwycięstwa nienawidzącej człowieka teorii, ale i na naszych rękach — rękach tych wszystkich, którzy byli posłuszni, którzy nie przeciwstawiali się systemowi, którzy nawet nie próbowali uczciwie spojrzeć na to, co działo się w naszym własnym domu. Ale póki co wszystko jest po staremu. Nie ma skruchy, nie ma i wolności. Jak dawniej żyjemy za drutem kolczastym i podczas gdy reżim morduje jednych, drudzy pokornie czekają, aż przyjdzie na nich kolej. Choć śpiewają hymny pochwalne na cześć reżimu. Wcześniej - breżniewowskiego, teraz — gorbaczowskiego, wcześniej — zastoju, teraz — przebudowy zastoju. Dawniej jak i teraz popiół tych, którzy zginęli nie koląc do serc tych, którzy współpracują z „pierestrojką”, ze zbrodniczą i bezprawną władzą. Do tej pory reżim korzysta z karnej psychiatrii, więźniowie 35-tej zony do końca odsiadują swoje wyroki, zamyka się w obozach pacyfistów, siedzą w więzieniu KGB liderzy Frontu Narodowego Azerbejdżanu, prowadzi się sprawy karne za niezależne demonstracje, za działalność antygorbaczowską.

W 1986 r. umarł w wyniku prowadzonej głodówki Anatolij Marczenko, siedzą w obozach i w specjalnych szpitalach dla umysłowo chorych I. Mamedow, M. Kazaczkow, W. Nowikow, N. Bierdnik, L. Dobrow i setki innych więźniów politycznych. I najstraszniejsze jest to, że my tak jak dawniej milczymy, milczymy kiedy aresztują niewinnych, kiedy masakrują palkami, rąbą łopatkami saperskimi, rozstrzelują na ulicach i duszą gąsiennicami czołgów. Tak jak dawniej staramy się nie zauważać przestępstw reżimu, przedkładając słodkie kłamstwa oficjalnej propagandy nad gorzką prawdę.

To już było nie raz. Tak samo zaczął w latach 30-tych Hitler zaczął przebudowywać Niemcy. Historia się powtarza, ponieważ my nie nauczyliśmy się niczego na podstawie jej lekcji. Wraz z otrzymaniem przez Gorbaczowa dyktatorskich pełnomocnictw „pierestrojka” zbliża się do swojego końca: do rozruchów, głodu i dyktatury wojennej „na prośbę ludu pracującego” — do odnowionego sowieckiego obozu koncentracyjnego.

Niech społeczność demokratyczna już dzisiaj stanie się tym pierwszym zbuntowanym barakiem w owym obozie koncentracyjnym, z którego rozpocznie się nasza droga do WOLNOŚCI. Każdy akt współpracy z bezprawną władzą, chroniącą reżim obozowy - nasz z wami podpis na przyszłych wyrokach.

**Moskiewska Rada Koordynacyjna
partii Związek Demokratyczny**

thum. Adam PACZEŚNIAK

(„Wolne Słowo” nr 39 z 30.10.1990 r.)

EUROPEJSKI KARABACH

Od dłuższego czasu trwają przygotowania, by Ziemia Wileńska stała się miejscem ostrego konfliktu Polaków z Litwinami. Pierwsze kroki poczyniono ponad rok temu, gdy w prasie Sajudisu pokazały się antypolskie artykuły o Armii Krajowej. Najtragiczniejsze jest to, że autor być może nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi i czemu będzie służyła jego praca. Korzystał z niemieckich i sowieckich danych fotograficznych. Niektórzy liderzy Sajudisu, a wśród nich Ozolas, poparli ideę przedstawiania Polaków i Armii Krajowej w negatywnym świetle. Doszło do tego, że Sajudis zwrócił się z apelem o zgłaszanie zbrodni dokonywanych przez Armię Krajową w celu szukania winnych „genosydu” narodu litewskiego. Skutek tej akcji był przerażający. Poróżnił Polaków z Litwinami. Bardzo przychylnych niepodległości Litwy obywateli Polski zaskoczyła wiadomość o antypolskim szowinistycznym nastawieniu Sajudisu. Natomiast na Litwie Polacy zostali nastraszeni do tego stopnia, że zaczęli otwarcie nazywać Sajudis organizacją faszystowską i utożsamiać Sajudis ze wszystkimi Litwinami.

W Sajudisie jako ruchu otwartym — za przyzwoleniem Moskwy — jest wielu komunistów. Niektórzy z nich dostali z Kremla właśnie takie zadanie, aby kontrolować i kompromitować ruch niepodległościowy. Wielu litewskich patriotów nie życzy sobie, aby ich utożsamiać z Sajudisem. Pogłoski o mających nastąpić w wolnej Litwie prześladowaniach Polaków trafiły na podatny grunt. Dwie nacje tak sobie bliskie, tak kochające wolność zostały postawione przeciwko sobie. Wiele błędów, niestety, zrobił Parlament Litwy. Nie przyznał Polakom swobód takich jak: polskie samorządy, zatwierdzenie statusu języka polskiego. Parlament Litwy winien był usunąć wszystkie zadrażnienia polsko - litewskie aby wybić argumenty z rąk zwolenników szukania poparcia dla polskiej sprawy w Moskwie. Można było tej autonomii i szantażowi Kremla zapobiec.

Wzajemna nieufność i szcucie jednych na drugich doprowadziły do zebrania w Ejszyskach, które odbyło się pod dyktando Moskwy. W większości polskich organizacji na Litwie prym wiodą komuniści np. członek KPZR oraz czołowy ideolog marksizmu-leninizmu Jan Ciechanowicz, wyrzucony z Instytutu Pedagogiki za tzw. „twardogłowość”, Brodawski — również członek KPZR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRS. Największym paradoksem jest to, że wojujący ateista Wasilewski, autor wielu książek propagujących naukowy ateizm, jest liderem Stowarzyszenia Katolickiego. Utrzymujący z tym Stowarzyszeniem KUL nie zdaje sobie sprawy ze stopnia infiltracji jakiemu poddano polskie organizacje na Litwie.

Cały ten zjazd polskich deputowanych w Ejszyskach był surrealistyczny. Olbrzymią flagę polską i piękne motto „Nie

rzucim ziemi skąd nasz ród” przyćmiła sowiecka czerwona chorągiewka obok litewskiej i polskiej — pierwsze ostrzeżenie o faktycznym charakterze zebrania. Wielu delegatów nie zdawało sobie w ogóle sprawy z tego, w czym uczestniczą. Dla wielu był to doniosły dzień walki o polskość tej ziemi. Cały dzień tłum czekał w deszczu przed budynkiem kina na wynik obrad. Tylko nieliczni rozumieli, że to spektakl wyreżyserowany przez Kreml. Wśród zaproszonych gości przedstawiciele Jędrzejstwa i Interfrontu stwierdzający, że zawsze czuli się obywatelami ZSRS i nie zamierzają zmienić obywatelstwa ani poprzucić „swojej ziemi”.

Większość wypowiedzi Polaków dotyczyła obaw przed Litwinami. Powszechnie panowała opinia, że jeśli teraz nie wywalczy się swobód to wolna Litwa „już niczego nie da”. Nikt z zebranych Polaków nie protestował, że jeszcze

Sprawy Polaków i Litwinów powinny być załatwiane w Warszawie i w Wilnie, a nie w Moskwie. Na Was patrzy cały świat. Wszystkie republiki pragnące niepodległości. Nie hańbicie dobrego imienia Polaków i Litwinów, by nikt nie rzucił Wam w twarz, że nie macie pokonać swej małostkowości walczyliście owszem, ale „za Waszą i Naszą niewolę”.

nie ma wolnej Litwy, a Rada Najwyższa jest pełna komunistów więc i po niej niewiele można się spodziewać. Nikt też nie wpadł na pomysł, żeby poprzeć niepodległość Litwy, a Rada Najwyższa jest pełna komunistów więc i po niej niewiele można się spodziewać. Nikt nie krzyknął: *Bracia Polacy! My i Litwini mamy wspólnego wroga, którego musimy razem pokonać, by potem cieszyć się wolnością.* Padły natomiast słowa Jana Ciechanowicza, który bez ogródek wyjaśnił arkana polityki polskiej (czytaj sowieckiej) na Wileńszczyźnie: *Jeśli Landsbergis i Prunskiene nie przyjdą do nas z kwiatami gratulować Autonomicznego Kraju i Litwa nie da nam wszystkiego czego żądamy czyli pieniędzy na rozwój ekonomiczny, statusu języka polskiego jako urzędowego, nie odda Uniwersytetu Wileńskiego itp. nie zgodzi się na autonomiczny kraj, to wyjdziemy ze składu Litwy i wejdziemy w skład ZSRR. Jeśli ZSRR nie da nam tego wszystkiego czego żądamy to ogłosimy niezależną Republikę ZSRR - Wileńska. Szczytem prowokacji była wysunięta przez niego propozycja tworzenia polskich oddziałów samoobrony. Nikt nie krzyknął „zdrada”, „Targowica” — aprobujący śmiech i oklaski.*

Niestety ci ludzie, zgromadzeni tam na sali, myślą już jak niewolnicy. Bezwiednie dają się manipulować takim zawodowcom jak

Ciechanowicz. Niektórzy z podziwem wręcz patrzą na jego wykształcenie — filozofa marksizmu. Nikt nie krzyknął, że słowa o sowietyzacji, o zbrodniach Sowietów w ustach członka KPZR, afiszującego się znacznikiem tej przestępczej organizacji, są największym skandalem. Nikt nie powiedział, że wszystko to czym straszy się Polaków (Litwinami) to drobnostka w porównaniu z tym czego doznali od Sowietów. To nie Litwini sowietyzowali, rusefikowali (większość nie zna języka polskiego lub bardzo słabo), to nie Litwini wsadzali do więzień, łagrów, mordowali w Katyniu, wywozili na Sybir, do Kazachstanu i Uzbekistanu. Nic na świecie nie może równać się rozmiarom zbrodni dokonanych przez Sowiety. Nie można też pojąć, jak ktoś przy zdrowych zmysłach może pragnąć być nadal poddanym Kremla.

Zebraniem w Ejszyskach obcy był problem polskich poborowych. Chęć szybkiego powrotu do domu, zamknięcia zebrania, czy może czegoś innego kazała im złożyć los swoich synów w ręce Ciechanowiczów (Komisja Koordynacyjna). Wystarczyło 5 minut aby wszyscy młodzi polscy chłopcy zostali w domu — nie poszli do armii być może Czerwonej. Propaganda sowiecka wmówiła Polakom na Litwie, że rodacy z Polski ich już sprzedali, że są zdani na własne siły. Gotowi są więc szukać pomocy w Moskwie. To nie Polska ich sprzedała, to ich przywódcy — członkowie KPZR i KGB, wojujący marksiści, którym pozwalają sobą sterować, sprzedają ich Moskwie.

Jest już ostatni dzwonek, a właściwie ryk syreny alarmowej, aby Polacy i Litwini przestali się bać nawzajem — jedni polonizacji, drudzy litwinizacji, by przestali się oskarżać o drobnostki i stanęli jak przez całe wieki po jednej stronie barykady. By wreszcie zrozumieli, że tylko razem mogą osiągnąć upragnioną wolność. Jeśli tego nie zrozumieją i jedni i drudzy, to stracą szansę, którą dała im historia. Zwycięży Kreml, który już teraz marzy o Wileńskim Karabachu, by bagnetami Armii Czerwonej zaprowadzić spokój i pokazać światu, że nawet europejska Litwa nie może być wolnym cywilizowanym krajem, że dla pokoju na świecie konieczne jest istnienie Związku Sowieckiego. Jeśli do tego dojdzie to winni będziecie Wy Polacy i Wy Litwini, że nie mogliście się wznieść ponad przyziemne uprzedzenia i pozwoliliście Moskwie urządzić to czego pragnie — bratobójczą rzeź! Opamiętajcie się póki czas!

**Jadwiga CHMIEŁOWSKA
Piotr HLEBOWICZ**

WAŁĘSA BEZ ILUZJI

(na marginesie artykułu Jacka Kwiecińskiego „Czy bliżej normalności?”)

Kiedy parę lat temu zajmowałem się pismami Józefa Mackiewicza, pytanie które sformułowałem w wyniku lektury, brzmiało: czy w oparciu o antykomunizm (tak jak rozumiał go autor „Kontry”) można uprawiać praktyczną politykę? Sądzę, że podobne pytanie powinien sobie postawić Jacek Kwieciński i dłużej zastanowić się nad odpowiedzią. A zatem: czy na bazie poglądów antypostkomunistycznych prezentowanych w „Orientacji na Prawo” można zajmować się działalnością polityczną? Nie chodzi rzecz jasna o zakazy formalno-policyjne: tych wszak nie ma (w tym punkcie postkomunizm różni się od komunizmu), lecz o możliwość udziału w normalnym życiu politycznym (przyjmuję przy tym, że „OnP” za normalność uznaje system demokracji parlamentarnej typu zachodniego, abstrahując od różnic pomiędzy poszczególnymi wariantami tego systemu). Przy lekturze artykułu „Czy bliżej normalności” odniosłem wrażenie, że autor gotów jest naprędce udzielić sobie pozytywnej odpowiedzi na powyższe pytanie i jeszcze bardziej pochopnie chciałby do tej polityki przystąpić, deklarując — z różnymi zastrzeżeniami — poparcie dla „obecnej akcji Wałęsy”, bowiem miałyby ona zmienić patologiczną sytuację w Polsce.

Osobiście sądę, że antykomuniści czy też antypostkomuniści w polityce większych szans nie mają, głównie dlatego, iż chcą się sprzeciwić układowi politycznemu, którego poczęcie, a zapewne i przyszła ewolucja, to dzieło sił tak potężnych, że wobec nich wszystkie grupy „spoza głównego nurtu” niewiele znaczą. Członkom tych grup również dlatego nie dają większych szans, że nie poznali oni kilku podstawowych mechanizmów prowadzenia polityki. Nie jest to w żadnym wypadku zarzut, wprost przeciwnie — niemal pochwała, gdyż posługiwanie się tymi „metodami politycznymi” musiałoby wywołać wiele zastrzeżeń natury etycznej. Nie krytykuję zatem, lecz przestrzegam, prosząc zarazem o uwzględnienie odmiennej perspektywy, z której obserwuję sytuację w Polsce. Uważam to zresztą za sytuację w pewnym sensie korzystną; spojrzenie z oddali umożliwia bowiem refleksję bardziej ogólną, a nieznaną — szczegółów (np. co i gdzie oświadczył ten czy ów prominent sceny politycznej ex-PRL-u) nie odwraca uwagi od zasadniczego biegu wydarzeń. Oto moje refleksje: „Koń jaki jest — każdy widzi” — nauczał Arystoteles. Co robi rząd p.Mazowieckiego i jakie są tego skutki dla Polski — może zobaczyć każdy,

kto tylko chce patrzeć (nie wszyscy chcą...). Najprostszym i najbardziej skutecznym środkiem „zbitcia kapitału politycznego”, czy też budowania własnej popularności, jest krytyka posunąć p.Mazowieckiego i jego ministrów, zwłaszcza, gdy dysponuje się praktycznie nieograniczonym dostępem do środków przekazu. Dysponuje nim Wałęsa (a niestety nie Kwieciński) i wykorzystuje to, ale — choć krytyka rządu jest słuszna — nie widzę podstaw, żeby upatrywać w Wałęsę nadzieję i szanse na normalność polityczną w Polsce, zwłaszcza, że przemawia przeciwko temu wiele czynników bardziej istotnych, niż deklaracje składane na konferencjach prasowych. Wymienię kilka z nich:

Przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego Lech Wałęsa mianował Zdzisława Najdera. Jest chyba rzeczą oczywistą, że komitety miały być machiną wyborczą, czy inaczej mówiąc: kto ma w ręku komitety obywatelskie — ten wygrywa „wybory”, czyli taki neo-FJN przykrojony na postkomunistyczną miarę. Model ten realizowano już w maju '90, aczkolwiek przy niezbyt wielkim udziale zniechęconego społeczeństwa. Rozgorzała walka o komitety. Nominat Wałęsy — Najder — bil

wszelkie rekordy w dziedzinie ilości i długości wywiadów. Wynikało z nich, że był bohaterem i dyrektorem „Wolnej Europy”, że nie był agentem itp. i że zrezygnował nawet z dacy w Burgundii i francuskich win, by tylko móc poprowadzić naród ku Jedności. W wywiadach padały jednak oprócz tego wypowiedzi — mówiąc najogólniej — zastanawiające. Że partie polityczne — niepotrzebnie, bo się przeżyły, a Polacy w ogóle mają dość partii, wystarczy aby wszyscy — lewica, prawica, środek — wstępowali do KO, bo najważniejsze teraz — to jedność, której wszyscy chcą (tytuł jednego wywiadów z Najderem — „Chcę jedności”). Zatem najlepsza i jedyna możliwość udziału w życiu politycznym — to przystąpienie do KO, które czekają na wszystkich, z wyjątkiem tych, których ob.Najder z życia politycznego wykluczył. A wykluczył np. „Solidarność-80”, „bo jest przeciwna Lechowi Wałęsie”. Warto by odnotować to przyszły kronikarz, bo wszak chodziło m.in. o członków władz 10-milionowego związku, wybranych demokratycznie w 1981 r. Poza tym według Najdera — z KO pod jego przewodnictwem miałyby wychodzić projekty ustaw. Czyli grupa nominatów jako quasi-prawodawca (filozof Najder widocznie nie słyszał o trójpodziale władzy i legislacyj-

nej funkcji wybranego przez obywateli parlamentu). Szczególnej pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że Z. Najder miał zgodnie z wolą Wałęsy skontrolować wpływy lewicy, czyli prof. Geremka i towarzyszy, natomiast ów drobny szczegół, iż przewodniczący KO deklarował się zawsze jako socjalista z krwi i kości — nie dziwił nikogo. W ogóle zdolność dziwienia się w Polsce — jak się zdaje, zanika, a szkoda, bo to wszak początek filozofii. Najdera zaczęto krytykować dopiero wówczas, gdy okazało się, że jego nominacji towarzyszą inne posunięcia personalne (osłabienie pozycji prof. Geremka, usunięcie Henryka Wujca), natomiast zamiar monopolizacji życia politycznego na poziomie komitetów obywatelskich jakoś nikomu nie przeszkadzał. Nic mi nie wiadomo o tym, aby dr h.c. Wałęsa odwołał dra Najdera, zdyktansował się od jego deklaracji, czy chociażby skrytykował je, gdyż stoją one w tak jaskrawej sprzeczności do propagowanych obecnie przez przewodniczącego neo-Solidarności poglądów.

Wałęsa mianował natomiast szefem swoich doradców Andrzeja Micewskiego. Jacek Kwieciński wie zapewne lepiej ode mnie, że droga polityczna i poglądy ideowe p. Micewskiego bardzo przypominają oblicze polityczno-ideowe... Tadeusza Mazowieckiego. Obaj panowie to dawni aktywiści PAX-u, orędownicy twórczej syntezy katolicyzmu z marksizmem, później frontyści i współtwórcy ruchu „Postępowej Inteligencji Katolickiej”, która następnie — w postaci Koła Poselskiego „Znak” — popierała Gomułkę, socjalizm i sojusz z ZSRS. A. Micewski to również autor kilku książek o dyskusyjnej wartości historycznej, za to znacznym oddziaływaniu i wreszcie redaktor jedyne polskie pismo wydawanego poza krajem, które jeszcze kilka lat temu pośrednio potwierdzało sowiecką wersję mordu katyńskiego.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na teorię, której właśnie środowisko „OnP” poświęca tyle uwagi, zwłaszcza że teoria ta — jeśli prawdziwa — tłumaczyłaby wiele poczynań Wałęsy, ostatnich nie wyłączając.

Mam akurat pod ręką wywiad z Anną Walentynowicz („Solidarność Szczecińska” 27.11.89), która wyraża przypuszczenie, poparte szeregiem faktów, że Wałęsa od lat przygotowywany był przez władze do funkcji, jaką zaczął odgrywać w sierpniu 1980 r. Jak wiadomo, w innych publikacjach przytoczono dalsze fakty, które przemawiają za tą hipotezą.

I jeszcze na marginesie przypominam dwa drobniaki, które z pewnością Jacka Kwiecińskiego nie przekonają, bo wszak w polityce zmienia się front, kłamie i uprawia demagogię, niemniej jednak chcę je przypomnieć. Kilkanaście dni temu Wałęsa dziękował byłemu prezydentowi USA R. Reganowi za poparcie dla polskiego społeczeństwa w latach „stanu wojennego” i chwalił amerykańską politykę w tamtym czasie. Natomiast w roku 1984 (o ile mnie pamięć nie myli) Wałęsa swoim niespodziewanym apelem o zniesienie sankcji amerykańskich wobec PRL jednoznacznie przeciwstawił się tej polityce i ułatwił Jaruzelskiemu wyjście z międzynarodowej izolacji. To do rubryki: wiarygodność Wałęsy. Zaś drugi drobiazg pochodzi z pokaznego katalogu absurdu: groźba Wałęsy wobec uczestników demonstracji antyrządowych w 1988 r., że „naród ich powiesi”. W ‘56 r. Cyraniewicz groził demonstrantom z Poznania zaledwie „poobcinaniem rąk”, w dodatku tylko w imieniu „klasy robotniczej”. Skoro J. Kwieciński chciałby w Polsce normalności, to nie powinien zapominać, że w warunkach normalnych istnieje pewna granica absurdu i kompromitacji, po przekroczeniu której polityk z reguły zmienia zawód.

Zaś „wszystkie chwyt”, na które pozwalają sobie „wyznawcy filozofii Tadeusza Mazowieckiego” w konflikcie z Wałęsą — fałsz, pomówienia, demagogia? Zaiste, nieładnie, nawet bardzo. Wydaje mi się jednak, że ostatnio nie jest to nic wyjątkowego, wprost przeciwnie; w czasach, gdy polityka polega głównie na socjotechnice i działaniach niejawnych, „wszystkie chwyt” wchodzi do jej podstawowego instrumentarium. A że tymi niecznymi sposobami posługują się „autorytety”? Cóż, żyjemy w

czasach, gdy dyktatorzy uchodzą za bohaterów, współpracownicy tajnej policji za niezłomnych opozycjonistów, ogólnie: fałsz za prawdę. Zatem i z „autorytetami” jest podobnie i najświętsze nawet oburzenie niczego tu nie zmienia. Nastąpiły bowiem czasy niedobre (a będą jeszcze gorsze...) i to nie tylko w Polsce; czasy społeczeństwa masowego, manipulowanej opinii publicznej, dezinformacji na nie spotykana dotąd skalę. Czasy, w których podstawowe decyzje polityczne podejmuje się w trybie poufnym (Magdalena i Malta — toutes proportions gardees), a ich realizacją zajmują się w pierwszym rzędzie służby specjalne. A lud, na którego wolę tak chętnie powołują się politycy, staje się obiektem, a nie subiektem „polityki” — socjotechnicznych operacji, propagandy, manipulacji prasowo-telewizyjnej. I choć niekiedy (jak się zdaje coraz rzadziej) pojawiają się publikacje o tym, jak to naprawdę było i jest, liczy się głównie sterowana opinia publiczna. Obalenie Ceausescu to operacja przeprowadzona przez KGB i rumuńskich sojuszników Gorbaczowa (opublikowano nawet dwie książki na ten temat); dla światowej opinii publicznej — to spontaniczna rewolucja ludowa. Dla pogłębienia refleksji nad „wiosną ludów” w bloku sowieckim odsyłam do publikacji Józefa Darskiego, znanego z łamów „OnP”. Ponadto zalecam pilną obserwację Niemiec — kraju, w którym dokonuje się twórcza synteza systemu postkomunistycznego z systemem zachodnim, aczkolwiek od wielu lat przygotowywanym przez sowieckich strategów — politycznie, psychologicznie, socjalnie — jako reprezentacyjny salon „wspólnego europejskiego domu”. Zapewniam, że telewizja prezesa Dąbrowskiego może być wzorem obiektywizmu dla obu kanałów zachodnioniemieckiej telewizji państwowej, zaś „Spiegel” to rekordzista świata, jeśli chodzi o liczbę polityków na eksponowanych stanowiskach, którzy zakończyli karierę na skutek kampanii prasowych tygodnika. Warto też zwrócić uwagę na znikanie, lub wchłanianie przez duże partie tych ugrupowań politycznych, które powstały spontanicznie w

„NRD” i teraz znalazły się poza „głównym nurtem”. Myślę, że podobne losy pisane są partiom spoza postkomunistycznego establishmentu w Polsce, bo nasza sytuacja to przecież element „wspólnego europejskiego domu”, budowanego przez Sowiety i Zachód, a także realizacji teorii konwergencji, wymyślonej — jeśli wierzyć znawcom — przez KGB, uznanego przez zachodnich polityków za solidnego partnera.

Czy popieranie Wałęsy i Porozumienia Centrum może tutaj coś zmienić? Nie wiem, nie jestem futurologiem. W swej niewiedzy naprawdę nie pojmuję, po co te porozumienia, ruchy, fronty, obywatelskie komitety, jeśli chcemy, by w społeczeństwie wykształciły się różnice ideowe, a życie polityczne stało się naprawdę wolne. W warunkach normalnych — tak jak rozumie je p.Kwieciński — porozumienia i koalicje tworzy się (ewentualnie) dopiero po wyborach, aby wspólnie sformować rząd. Po co zatem te różne twory o niesprecyzowanym obliczu ideowym? W dodatku, jak mi się zdaje, nie są one — w przeciwieństwie do normalnych partii politycznych — objęte zakazem otrzymywania finansowej pomocy z zagranicy. Czy to na pewno przypadek?

Te kilka uwag spowodowała lektura artykułu Jacka Kwiecińskiego w 65/66 nr „OnP”, którego autor zamierza najwidoczniej przystąpić do działań politycznych w postkomunistycznej Polsce, w nadziei zmiany patologicznego modelu. Proponuję tu — oprócz przedstawienia elementów, których brak w artykule „Czy bliżej normalności?” — również spojrzenie z szerszej perspektywy geograficznej i czasowej. Zachodni ustrój, do którego tęsknią liberalni demokraci z „OnP” staje się systemem politycznym społeczeństwa masowego, a jego cechy tak trafnie antycypował Ortega y Gasset. We „wspólnym europejskim domu” demokracja — to w istocie rządy większości, tyle że manipulowanej przez mniejszość. W tej sytuacji „model polski” nie jest anormalny, wprost przeciwnie; kiedy w Mongolii urządzono w tym roku plebiscyt, podobny do wzorca PRL A.D. 1989, z

zagwarantowanym z góry zwycięstwem komunistów, amerykańskie rozgłośnie radiowe zapewniały, że w Mongolii odbyły się „wolne wybory”.

Model polski będzie jednak — jak sądzę — poddawany planowym zmianom, bo narastać będzie nacisk zdesperowanego społeczeństwa, zaś miliardy i propagandowe wsparcie z Zachodu władzom ex-PRL nie pomogą (tak się jakoś złożyło, że dotychczasowe wystąpienia przeciwko rządowi Tadeusza Mazowieckiego „gasił” Lech Wałęsa). Trzeba zapobiec sytuacji, w której zmiana dokonałaby się w atmosferze napięcia, strajków czy ogólnego chaosu w Polsce; nie można wszak rozchwiać rusztowań „wspólnego domu” i ryzykować redukcji zachodnich subwencji. Ale gdy trybun ludowy gromi nieudolną politykę rządu, wzywa do przyspieszenia reform („uskorzenie”), autentycznego pluralizmu, ba, żąda wycofania z Polski wojsk sowieckich — lud nie musi protestować i wychodzić na ulicę, poprzez trybuna. Jaruzelski odejdzie; nowy, wybrany w powszechnych wyborach prezydent dokona zmian w rządzie, a w glorii parlamentaryzmu porozumienia będą toczyć pluralistyczne spory z ruchami czy komitetami. Przedsmak „walki politycznej” dał nam już spór o emblemat Solidarności w winiecie „Gazety Wyborczej”, który tylko dlatego nie był groteskowy, że niczym zasłona dymna maskował konflikt o funkcję pseudo-prawnego dziedzica „Solidarności”, czyli reprezentanta Polski i biorcy zachodnich apanaży.

Jak się zdaje, nie jest to tylko moja wizja. Bo oto w bliskim „Porozumieniu Centrum” „Tygodniku Solidarność” (nr 37 z 14.9.90) czytam w artykule „Końcówka”, że dobrze się stało, iż nastąpił podział na ROAD i Centrum, bo „wokół tych biegunów będą się grupować racje i zawiązywać sojusze”. A podział służyć ma „sformułowaniu propozycji działania wspólnego, zgody...”. Czyli taki neo-FJN, tyle, że dwubiegunowy. I jeszcze: postulaty „sojuszu, koalicji, kompromisu — wszystko dlatego, że ludzie nie chcą jeszcze dziś dokonywać wyborów ideologicznych, wszy-

stko dla tych, którzy takiego wyboru dotychczas zaniechali”. Autorem artykułu nie jest — wbrew pozorom — mój ulubiony myśliciel polityczny ex-PRL Zdzisław Najder, lecz Maciej Zalewski, który zdaje się nie dostrzegać, że dotychczas robiono wszystko, aby ludziom uniemożliwić dokonanie wyborów ideowych.

Jeśli dodać do tego, że Adam Glapiński w referacie opublikowanym 31 sierpnia br. w „Tygodniku Solidarność” zapewnia, iż Porozumienie Centrum jest organizacją o antykomunistycznym rodowodzie, która „została powołana do życia z inicjatywy rozmaitych środowisk i partii, głównie liberalnych (konserwatywnych) i chrześcijańsko-demokratycznych” — zarzut o zdominowaniu życia politycznego w Polsce przez lewicę różnych odcieni — staje się bezpodstawny. Rząd co prawda jest lewicowy i filozofiecki, ale oto pojawia się potężna konserwatywno-liberalna i antykomunistyczna alternatywa. Zatem można będzie wybierać (w ubiegłym roku też było można...). Co prawda nie bardzo mogę doszukać się w deklaracjach „Porozumienia Centrum” wartości konserwatywnych, a i z antykomunizmem jego działacze różnie to bywało, ale słuchacze p.Glapińskiego — słuchacze londyńskiego National Liberal Club — na pewno byli zadowoleni. Mamy już zatem prawicę, która przełamie monopol lewicy. Nic, tylko poprzec słuszną linię, zwłaszcza, że „Jedynie prezydentura Lecha Wałęsy” uratuje Polskę przed katastrofą (Glapiński, op. cit., podkr. TM).

Jeżeli zatem ktoś chce się brać do „robienia polityki” — proszę bardzo. Ja dziękuję, nie znam się na tym i — szczerze powiedziawszy — znać się nie chcę. Chętnie natomiast przyjrzę się realizacji scenariusza. Scenariusze mają jednak to do siebie, że nie muszą być odgrywane tak, jak chcieliby ich autorzy. I w tym widzę większą szansę na wolność polityczną i gospodarczą w Polsce niż w akcjach Wałęsy i sporach porozumień z ruchami.

Tomasz MIANOWICZ

Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – ten pojałtański pomiot „zimnej wojny” – urodził się w styczniu 1949 r. i przez następne 12 lat żył tylko na papierze.

Był to jednak ważny papier, bo uniemożliwił Polsce, Czechosłowacji, Węgrom i innym krajom Europy Środkowo-Wschodniej korzystanie z Planu Marshalla, a w późniejszym okresie przyłączenie się do Wspólnego Rynku. Założycielami tej organizacji były, poza Związkiem Radzieckim, reżimy komunistyczne Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii i Rumunii, a nieco później Albanii i Niemiec Wschodnich.

RWPG udzielała wprawdzie wielu rad, ale żadnemu z państw założycielskich nie udzielała pomocy. Była w swym założeniu organizacją polityczną i jej głównym celem było dodatkowe, ściślejsze uzależnienie krajów Bloku Komunistycznego od Moskwy. Stalin wychodził z prostego, a jak się później okazało prostackiego założenia, że zapewni sobie większą kontrolę nad państwami satelickimi, gdy narzuci im monopol dostaw surowców i energii ze Związku Radzieckiego w zamian za dostawy maszyn, urządzeń i towarów przemysłowych z krajów Bloku. Oczywiście kraje mające zasoby energetyczne, takie jak Polska, musiały dostarczać Rosji poważne ilości węgla.

„Rady” udzielane przez RWPG polegały przede wszystkim na dostarczaniu państwom satelickim planów i dokumentacji przemysłowych, na podstawie których budowano w tych krajach „socjalizm”. Wszędzie więc w Europie Środkowo-Wschodniej powstawały większe lub mniejsze „repliki” sowieckiej struktury gospodarczej. Specyficzne warunki geograficzne, geologiczne, ekonomiczne, czy socjalne nie były brane pod uwagę. Tak więc w Polsce czy Rumunii, gdzie nie było poważniejszych zasobów rudy żelaza, budowano przemysł stalowy, a w Czechosłowacji czy na Węgrzech, gdzie istniały silne ośrodki przemysłu drobnego i konsumpcyjnego zaczęto je likwidować, by skupić cały wysiłek na produkcji stali i ciężkich maszyn. Rolnictwo, podobnie jak w Związku Radzieckim, miało finansować rozbudowę przemysłu ciężkiego i pozbyć się jak najszybciej form własności prywatnej.

A tymczasem na Zachodzie powstała Wspólnota Węgla i Stali, powstał Wspólny Rynek. Procesy prawdziwej integracji gospodarczej zaczęły przybierać na sile. Zaalarmowało to nawet komunistycznych ideologów w Moskwie. W maju 1958 roku powstał tam pierwszy ramowy program integracji gospodarczej, a w roku 1959 ogłoszono po raz pierwszy statut RWPG.

Od tego czasu w Moskwie, a także w innych stolicach państw RWPG, zaczęto zastanawiać się nad formami integracji państw, które nie mają rynków, całe życie gospodarcze reguluje, przynajmniej w teorii, plan państwowy o mocy prawa.

Wytworzyła się sytuacja absurda. W czasie gdy w Europie Zachodniej tworzyły się podstawy nowych form współpracy gospodarczej opartych na stopniowym ograniczaniu suwerenności państw członkowskich, w niektórych dziedzinach gospodarczych, w Europie Środkowo-Wschodniej wysunięto zasadę „suwerenności”. Ta zasada miała na celu nie dopuszczenie do jakiegokolwiek związków między państwami członkowskimi, bo mogłoby to zagrażać dominującej pozycji Związku Radzieckiego. Nie było więc mowy o swobodnym przepływie kapitałów czy siły roboczej, a nawet o wymianie doświadczeń,

RWPG

„Powolna śmierć kończy się agonią, ale czy narodzi się coś nowego?”

bo wszystko musiało się odbywać w ramach RWPG. Tylko doświadczenia sowieckie były obowiązujące, a długoterminowe umowy handlowe mogły być tylko dwustronne i musiały być uzgadniane z RWPG, co w praktyce oznaczało ze Związkiem Radzieckim.

I tak wszystko szło od jednego absurdu do następnego. Jak ustalać ceny w handlu międzynarodowym, gdy nie ma ani rynku, ani wymiennego pieniądza? Ustalano więc ceny najpierw według dyktanda Moskwy, a potem po październiku 1956 roku i po „buncie” Rumunii w 1964 r., rozpoczęły się przetargi. Wreszcie ustalono wprowadzenie tzw. „cen historycznych”. Obliczono przeciętne ceny z okresu ostatnich 5 lat na rynkach światowych i te ceny miały obowiązywać w okresie poszczególnych pięcioletek. Nie trzeba było długo czekać na wyniki tej obłędnej decyzji. Ceny na rynkach światowych wahały się stale i często gwałtownie. Był więc czas, gdy np. za ropę naftową ze Związku Radzieckiego płacono się mało i był okres, gdy płacono się znacznie więcej niż wynosiła cena na rynkach światowych. Stworzono „rubel transferowy”, którego wartość ustalono ze względów propagandowych nieco powyżej dolara, ale była to tylko jednostka obliczeniowa, której nie można było zrealizować, gdy się miało nadwyżkę w handlu z jakimkolwiek krajem RWPG. Gdy się miało ruble transferowe na koncie w Moskwie, to nie można było ich użyć na zakup jakiegokolwiek towaru, np. w Czechosłowacji, czy w Bułgarii. Można było poczynić dodatkowe zakupy w kraju, w którym się miało nadwyżki, ale co kupić, gdy cała produkcja regulowana jest planem i wszystkie atrakcyjne towary, maszyny czy surowce są „deficytowe”, czyli że ich brakuje.

Wysunięto nowy projekt „integracji” gospodarczej poprzez „koordynację planów”. Okazało się to zupełnie nierealne, bo statut RWPG mówił wyraźnie o „suwerenności” państw członkowskich i nikt nie kwapił się do takiej „koordynacji”.

Można by wyliczyć wiele takich absurdów. Należy też powiedzieć, że w swej 40-letniej historii RWPG wyrządziło ogromne szkody wszystkim

państwom członkowskim, nie wyłączając Związku Radzieckiego. Masowe dostawy surowców ze ZSRR zobowiązywały państwa zależne od Moskwy do rozbudowy określonych gałęzi przemysłowych, o co zresztą ideologom komunistycznym chodziło, ale spowodowało to ogólną katastrofę ekologiczną i praktycznie przekreśliło możliwość rozsądnej specjalizacji gospodarczej poszczególnych krajów. Eksport maszyn i urządzeń przemysłowych do Związku Radzieckiego nakazywał utrzymanie nierentownych, a nawet całych gałęzi przemysłu i hamował rozwój technologii. Środkiem płatniczym za radzieckie surowce stały się przestarzałe maszyny i przestarzały sprzęt, często bardzo złej jakości.

Trzeba jednak powiedzieć, że RWPG przyniosła też pewne korzyści, przynajmniej w latach 60- i 70-tych. Państwa RWPG miały zapewnione dostawy surowców, a przede wszystkim długoterminowych umów. Takie kraje jak Polska mogły rozbudować przemysł okrętowy w oparciu przede wszystkim

o umowy dostawcze ze Związkiem Radzieckim. Wprawdzie Polska musiała kupować poważną część wyposażenia statków za twardą walutę, by sprzedawać je następnie Rosji, ale w zamian otrzymywała ropę naftową, za którą również musiałaby płać w dewizach. Czy to się opłacało? Na to pytanie nie można odpowiedzieć, bo ceny zawsze były sztuczne. Niemniej przemysł ten powstał i utrzymywał się, nawet w okresie wielkiego kryzysu w tej dziedzinie na rynkach światowych.

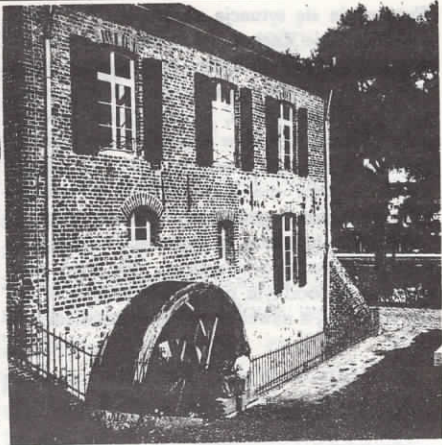
Rok 1989 przyniósł wielkie zmiany w całym układzie sił w Europie Środkowo-Wschodniej. RWPG praktycznie przestało istnieć. Po raz pierwszy w historii tej organizacji odwołano doroczne posiedzenie Sesji RWPG, naczelnego organu władzy tej organizacji. Polska i Węgry, a zapewne i Niemcy Wschodnie, i Bułgaria, Czechosłowacja, zmieniają ustrój – przechodzą na gospodarkę rynkową. Oznacza to – ni mniej ni więcej – koniec komunistycznego świata. Rozpoczyna się nowa era. Nie oznacza to jednak, że Polska czy inne kraje dawnego „obozu” nie będą chciały sprzedawać swoich towarów Rosji. Trzeba będzie jednak opracować nowe plany współpracy, trzeba będzie dokonać gigantycznego zadania oparcia wymiany handlowej na wymiennych walutach i na kalkulacji cen prawdziwych, a nie sztucznych.

Powolna śmierć RWPG kończy się agonią, ale czy narodzi się coś nowego? Czy odżyją koncepcje mniejszych związków, „Beneluxów” Europy Środkowo-Wschodniej, Federacji Polsko-Czechosłowackiej, Unii Nadnadmorskiej? A może Polska i inne kraje tej części Europy przyłączą się w takiej czy innej formie do Wspólnego Rynku?

Na te pytania nikt nie potrafi jeszcze odpowiedzieć. Ważne jest jednak, że wyszliśmy z koszmaru absurdów ideologicznych i że wchodzimy w epokę gospodarczą i polityczną pragmatyzmu.

Jan KROK-PASZKOWSKI

(„Orzeł Biały” nr 1449/XLX, Londyn, styczeń 1990)



BEZKARNY TRUCICIEL

Ferma bydła w Starczowie, należąca do Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Kamieńcu Ząbkowickim, to jeden z pomników zawodowej ignorancji komunistycznych menadżerów z uniwersyteckimi dyplomami. Od początku, od chwili wprowadzenia do niej zwierząt, jest ona głównym, chociaż nie jedynym, zagrożeniem środowiska w tamtejszym podobno rekreacyjno – wypoczynkowym rejonie. Ponad 1000 sztuk bydła w tym 400 sztuk krów utrzymywanych jest „nowocześnie”, czyli beżściółowo (słomę pali się na polach!) na legowiskach splukiwanych wodą. Ferma nie dysponuje oczyszczalnią ścieków. Tysiące hektolitrow gnojowicy wylane jest bez jakiegokolwiek planu gdziekolwiek się da przez cały rok – zimą i latem. Jeżeli nie ma pola, które mogłoby w danym dniu przyjąć cuchnący ładunek, gnojowicę (ok. 90 000 litrów na dobę) wylewa się do rowów przydrożnych lub melioracyjnych.

I stało się co się stać musiało. Bakteriami fekalnymi i kloaczynami skażone zostały okoliczne wody gruntowe z nielicznymi na terenie wsi źródłami włącznie, wzdłuż cieków wodnych ulatniają się coraz liczniejsze ogniska żółtaczk i czerwoni. Sprawa nabrała rozgłosu, Komisja Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Wałbrzychu oraz badania laboratoryjne Stacji Sanitarnej Epidemiologicznej w Ząbkowicach Śl. wydały werdykt jednoznaczny: woda w Starczowie (i okolicy!?) nie nadaje się do celów spożywczych i gospodarczych. Wieś pozostała bez wody, bo Starczów nie ma

wodociągu, gmina nie ma pieniędzy. Poprzednie władze „nie dostrzegły” zagrożenia ze strony fermy – Pomnika Socjalistycznej Nowoczesności. Nie mogły (!) wchodzić w konflikt z młodym, ale „prężnym, doskonale wykształconym” i wysoko notowanym w partyjnej i SB-ckiej hierarchii dyrektorem POHZ w Kamieńcu Ząbk. Nałożono 200 tysięcy zł kary na... nie, nie na dyrektora POHZ, lecz na Bogu Ducha winnego kierownika Zakładu w Starczowie, którego dyrektor zaledwie przed kilku miesiącami obarczył odpowiedzialnością za obiekt funkcjonujący od kilku lat. Kara ta to plus – minus 1/6 miesięcznej pensji kierownika, a 1/5 uposażenia dyrektorskiego! Tenże dyrektor uruchomił obiekt wbrew podstawowym zasadom inżynierii rolniczej, bo bez oczyszczalni ścieków i stan ten przez wiele lat tolerował, chociaż był jedynym dysponentem funduszy na ewentualną utylizację ścieków.

Nowe władze gminy podejmują rozpaczliwe działania, by zdobyć pieniądze na wodociąg dla Starczowa. Miotają się, jak dotychczas bezskutecznie, napotykając na opory niektórych radnych sprzeciwiających się ujawnieniu skandalicznej sytuacji, przeciwnych ujawnieniu koronnego argumentu. Gmina miała przez wiele lat „doskonałą” opinię najwyższego upartyjnienia... A co na to główny winowajca? Państwowy Ośrodek Hodowli w Kamieńcu Ząbk. ma miliardowe zyski w części „dzięki oszczędnościom na zbędnych inwestycjach” w rodzaju oczyszczalni.

Dyrektor, jako „wybitny ekonomista – organizator”, ma maksymalne uposażenie przyznane mu przez Ministra Rolnictwa. Jak więc reaguje na spowodowaną jego ignorancją katastrofę ekologiczną? Uruchamia fundusze, organizuje grupę do budowy oczyszczalni? Skądże! Rozpuszcza sforę „wączaczy”, by wytropić tego kto „nagłośnił” sprawę, a nuż to ktoś, kogo można będzie dla przykładu zniszczyć ku przestrodze potencjalnych „rozrabiaczy”? Tak oto wygląda „odnowa” na szczęblu gminy. Co można dodać? To tylko, że ów dyrektor, m i m o że na obecnym stołku osadzony został mocą komisarzy grasujących w pamiętną noc grudniową, m i m o że do końca używał „swoich” pracowników do działalności na rzecz przestępczej (by nie powiedzieć zbrodniczej) partii,

i m o niechęci do przemian, nadal czuje się dobrze, ba coraz lepiej, nie szczędzi ofiar... na Kościół. Więcej – cieszy się pełnym poparciem „swojej” powołującej się na Wałęsę „Solidarności”. Więcej – teraz straszy załogę widmem przemian, nawołując do milczenia, nie ujawniania niczego na zewnątrz przedsiębiorstwa, gdyż w ostateczności będzie musiał zamknąć fermę i ludzie stracą pracę.

A może by tak Panie Dyrektorze ruszyć głową? Uchodzi Pan za człowieka światowego, prężnego. Bywa Pan za granicą. Czy tak trudno podpatrzyć jak takie problemy rozwiązują ci, którzy goszczą Pana w Niemczech, w czasie służbowych wycieczek? Chyba, że w pogoni za profitami z tych wizyt brak Panu czasu na patrzenie, a myśl traci lotność?

Rozwiązania są bardzo proste i skuteczne, ale wymagają pieniędzy. A Pan – Mistrz Gospodarności podobno je ma, więc może by tak zamiast urządzić biura z pałacowym przepychem, wyłożyć co nieco na naprawę, chociaż w części, tego co się zepsuło? A przy okazji przestać okłamywać własną załogę działaniami pozorowanymi w stylu „łapaj złodzieja”, bo chyba tym razem za pańskie zadufanie, ignorancję i arogancję załoga nie będzie płacić bezrobociem.

OBSERWATOR



COLLEGE

Właściwie budynek nie wyróżnia się niczym szczególnym. Trochę jakby forma nie chciała zdradzić treści. Wokoło piękne stare wille i bezlistne drzewa hołdujące jesieni. Ot, po prostu, zwyczajna szkoła. Jednak młodzież nie potrafi mówić o niej bez wypieków na twarzy, bez pasji i fascynacji. Podoba się tu wszystko: wykładowcy, sposób prowadzenia zajęć, atmosfera, wystrój wnętrz. Mówią, że już uroczysta inauguracja roku akademickiego była dla nich swoistego rodzaju szokiem. Przedstawiono im nie tylko grono pedagogiczne, ale także bibliotekarki, sprzątaczkę, konserwatorów, słowem wszystkich, którzy są odpowiedzialni za życie nowo powstałej placówki. Zresztą na początku nikt specjalnie nie wierzył w to, że we Wrocławiu powstanie college.

Pomysł zrodził się z potrzeby chwili. W momencie, gdy język rosyjski przestał być przedmiotem obowiązkowym wiadomo było, że trzeba zastąpić go językami zachodnimi. I wtedy właśnie okazało się, że brakuje około 20 000 nauczycieli języka francuskiego, niemieckiego, angielskiego. W związku z tym należało skrócić cykl kształcenia pedagogów. Siegnięto więc po zachodni model wyższych szkół przygotowujących do zawodu. Pomysł stworzenia w naszych warunkach kolegium zrodził się w Ministerstwie Edukacji Narodowej w listopadzie ub.r. Szybko jednak zapal projektodawców przysłał w związku z kłopotami finansowymi. Zwrócono się więc o pomoc do wojewodów i władz wyższych uczelni. W stosunkowo krótkim czasie zaczęły napływać pierwsze deklaracje. Wojewoda wrocławski również zapobiegł ten projekt. Postawił jednak jeden warunek — trzeba było przedstawić możliwości lokalowe i listę przyszłych wykładowców. Senat Uniwersytetu Wrocławskiego natychmiast zaoferował pomoc kadrową. Szybko też okazało się, że siedziba byłej Międzywojewódzkiej Szkoły Paryskiej świetnie nadaje się na lokal dla kolegium. Już więc w czerwcu kurator podpisał porozumienie z Rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Z pomocą przyszła również ambasada angielska i amerykańska. Do grona wykładowców nowej

szkoły przyłączyli się Amerykanie, Anglicy i Francuzi. Ich udział jest tym cenniejszy, że zdecydowali się pracować za polską pensję. Miesięcznie otrzymują ok. 100 dolarów.

Tak więc do Ministerstwa Edukacji Narodowej wpłynął gotowy projekt... Pod koniec maja mgr Anna Karp otrzymała propozycję zorganizowania nowej szkoły. Nie odmówiła, bo jak twierdzi, od razu zrozumiała potrzebę stworzenia tej instytucji, a oprócz tego miała już na swoim koncie organizację Alliance Française. 1 lipca otrzymała więc nominację i już 2 lipca odbyły się egzaminy wstępne do Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych we Wrocławiu. Jak z tego widać, zabiegi organizacyjne trwały około trzech miesięcy. Oczywiście nie obyło się bez trudności ekonomicznych. Ministerstwo sfinansowało tylko wyposażenie wnętrz. Resztą zajmuje się Kuratorium Oświaty i Wychowania. Jak się jednak okazało pieniądze nie są problemem najważniejszym i jedynym...

Kolegium powstało na mocy starych, istniejących jeszcze przepisów. Otrzymało status szkoły pomańtualnej a nie wyższej. I stąd właśnie wynikają absurdy, problemy i paradoksy. Skoro bowiem polski college oparty jest na modelu zachodnim, powinien być Wyższą Szkołą Zawodową. Niestety w tym wypadku paragrafy wydają się mieć władzę absolutną.

Absolwenci Wrocławskiego Kolegium mają prawo kontynuowania swych studiów na dowolnym uniwersytecie. W skład Rady Naukowej wchodzi samodzielni pracownicy Uniwersytetu Wrocławskiego. Po ukończeniu kolegium otrzymuje się prawo nauczania języka obcego nie tylko w szkołach podstawowych, ale i średnich. Jaka jest więc różnica między słuchaczem colleg'u a studentem? Dyrekcja Kolegium Wrocławskiego wystąpiła z prośbą do Ministerstwa Edukacji Narodowej o rozstrzygnięcie tego problemu. Owszem odpowiedź przyszła, ale jej treść można sprowadzić do jednego zdania: „Ministerstwo z uwagą będzie śledzić poziom tej szkoły”. Stwierdzenie

oczywiście asekuracyjne i na dodatek dziwnie trąci naszym starym skostniałym (a przecież z taką nienawiścią odrzuconym) ustrojem. Przy ulicy Skarbowców 8a wszystko jest więc po staremu. Wciąż pozostaje nieuregulowany problem służby wojskowej, słuchacze nie mają indeksów i legitymacji. Na 100 studentów tylko 20 uzyskało symboliczne stypendia w wysokości 60 000 zł. Właściwie problem tej nowo powstałej instytucji rozumiał tylko ZOZ Wyższych Uczelni biorąc pod opiekę słuchaczy Wrocławskiego Kolegium.

Jak widać pasja i poświęcenie pani Karp niewiele tu dały. Są ludzie, dla których przepisy stanowią prawo wyższe niż rzeczywistość, palące potrzeby. Jednak młodzież postanowiła nie dać za wygraną. Na przekór wszystkiemu samorząd wystosował kolejny list do władz oświatowych. W tej chwili pozostało im tylko czekać na odpowiedź.

Swoją drogą jestem bardzo ciekawa, kiedy wreszcie w naszym kraju narzekania zastąpi się rzetelnym działaniem, a mądre pomysły zaczną się czynnie popierać, zamiast po staremu niweczyć ich wykonanie.

Polak przecież tyle potrafi...

Agnieszka BURNIAK

„DACH ŚWIATA” – TYBET

Próżno by dziś szukać na mapie państwa o nazwie Tybet, a przecież istniało ono do roku 1951. Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, co dzieje się na tym terenie, do niedawna niezawisłym, a obecnie okupowanym przez Chińską Republikę Ludową.

W 1950 roku Chińska Armia Ludowa rozpoczęła swój marsz na Tybet. Armia tybetańska, składająca się z 12 tys. żołnierzy, nie była w stanie stawić czoła lepiej uzbrojonym Chińczykom. Najeźdźcy szybko zajęli Tybet. Doszło do negocjacji, po których obie strony podpisały siedemnastopunktową Deklarację. Na podstawie tego dokumentu władza duchowa i świecka miała nadal spoczywać w rękach Jego Świątobliwości Dalaj Lamy. Tybetańczykom zagwarantowano wolność religii, a także swobodę używania języka ojczystego. Niemniej jednak sprawy wojskowe i polityki zagranicznej mieli prowadzić Chińczycy. Każde niepodległościowe żądanie Tybetańczyków było odrzucane. Chińczycy zaproponowali rozwój sieci dróg, szkół, szpitali i elektryfikacji Tybetu, co spotkało się z aprobatą J.Ś. Dalaj Lamy.

W 1954 r. Dalaj Lama odwiedził Chiny i rozmawiał z Mao Tse Tungiem, który powiedział złośliwie: „religia jest trucizną”. Początkowo Tybetańczycy byli zadowoleni z reform, gdyż odcięty one kraj od systemu feudalnego. Radość jednak nie trwała długo. Chińczycy rozpoczęli wcielanie poszczególnych części Tybetu w obręb chińskich prowincji. Szkolnictwo nie zaspokajało potrzeb społeczeństwa tybetańskiego. Budowa dróg nie dawała żadnych korzyści mieszkańcom Tybetu; była jedynie pomocna wojskom chińskim. Nastąpiły ograniczenia żywnościowe, związane z przeludnieniem (napływ osadników chińskich).

W 1959 r. wybuchło powstanie przeciwko chińskiej okupacji. W Lhasie, stolicy Tybetu, demonstranci zebrali się wokół pałaców Dalaj Lamy – Potala i Norbulinka. Dalaj Lama usiłował powstrzymać ludność przed wybuchem silnej agresji, ale nie powiodło mu się. Do Lhasy wkroczyły uzbrojone oddziały wojska chińskiego, które otrzymały rozkaz otwarcia ognia. Wtedy to zostały zbombardowane klasztory: Sera i Jokhang oraz pałace: Potala i Norbulinka.

17 marca 1959 r., pod osłoną nocy, Dalaj Lama uciekł do Indii w obawie przed aresztowaniem. Za nim na wyg-

nanie podążyło 5 tys. mnichów. Teraźniejszą siedzibą Rządu Tybetańskiego na Wygnaniu jest Dharamsala. Po ucieczce Dalaj Lamy Chińczycy w odwecie zabili 87 tysięcy Tybetańczyków. Do końca roku 1959 z powodu represji popowstaniowych oraz „rewolucji kulturowej” zginęło 200 tysięcy Tybetańczyków, a 90 tysięcy uciekło do Indii. Według tybetańskich obliczeń od 1950 roku do czasów obecnych zginęło 1 mln 200 tys. Tybetańczyków. Jedną z głównych przyczyn śmierci był głód. Zanotowano dużą śmiertelność noworodków – 150 na 1000 oraz wielki – 75% analfabetyzm. Tybet, kolebka buddyzmu tybetańskiego, został pozbawiony 6 tys. klasztorów.

Obecnie Tybet zamieszkuje 6 milionów Tybetańczyków oraz 7 milionów Chińczyków. Nietrudno zauważyć, że naród tybetański stał się mniejszością we własnym kraju. Tybet często nazywany jest „dachem świata”, ponieważ większość jego terenów leży na wysokości około 5 tys. m nad poziomem morza. Otóż właśnie tam Chińczycy postanowili założyć swoje bazy militarne, z których trzy posiadają broń jądrową. W górach stacjonuje 300 tys. żołnierzy chińskich, istnieją 23 lotniska oraz poligony atomowe. Odpadki radioaktywne również są składowane wysoko, na „dachu świata”.

Zajęto się także prawowitymi mieszkańcami Tybetu, którzy pragną niezawisłości. Chińczycy prowadzą zaplanowaną politykę stopniowego wyniszczania Tybetańczyków. Aresztowania, tortury, sztuczne poronienia oraz sterylizacja – to najczęściej stosowane okrucieństwa. W Lhasie co roku w marcu wybuchają

zamieszki w rocznicę opuszczenia kraju przez Dalaj Lamę. W roku 1987 i 1989 aresztowano wielu demonstrantów, w większości mnichów z okolicznych klasztorów. A oto jak są traktowani więźniowie w zakładach karnych:

- leżących na ziemi bije się długimi kijami po plecach i uszach.

- wieszają się więźniów pod sufitem za ręce na 96 godzin.

- stosowane są wstrząsy elektryczne i „zabiegi” upuszczania krwi.

- w więzieniach nie ma żadnej opieki medycznej

- wyżywienie jest marne

Po opuszczeniu takich zakładów, ludzie ci są najczęściej na trwałe okaleczeni fizycznie.

Chińczycy starają się, aby naród tybetański nie powiększał swej liczebności. Wiadomo, że tylko w prowincji Qinghai (dawniej Amdo) w roku 1989 około 87 tys. kobiet zostało poddanych przymusowej sterylizacji. Jest to około 4% całej populacji prowincji i oznacza, że blisko 10% kobiet zdolnych do urodzenia dziecka zostało zoperowanych.

Rok 1991 jest dla sprawy Tybetu rokiem decydującym. J.Ś. Dalaj Lama stara się, aby jak najwięcej narodów świata poznało prawdę o tragedii Tybetu. Rok ten zadecyduje także, czy Tybet zamieni się w chińską bazę militarną.

Rosanna RADLIŃSKA



Z przymróżeniem oka

WYŻSZOŚĆ ANGIELSKA

Długowieczność Anglików, którą stwierdził humorysta amerykański James Thurber po przybyciu do Londynu, wzbudziła w nim zazdrość. Natchnęła go do aforyzmu o swej ojczyźnie: „W Ameryce miłość po 40-ce jest nieobyczajna, praca po 50-ce – nie do pomyslenia, a śmierć przed 60-ką niemal pewna.”

PRÓBA INTELIGENCJI

Oficer – psycholog przeprowadza próbę inteligencji wśród rekrutów amerykańskich. Rekrut odpowiada na zadawane mu pytania: „Co się dzieje, gdy kula urwie ci prawe ucho? – Gorzej słyszę. – Doskonale. A teraz druga kula urywa ci lewe ucho. Co się wtedy dzieje? – Przestaję widzieć. – Jak to? Proszę się zastanowić. Nie mówię o oczach. Powtarzam wyraźnie: kula uciną z kolei drugie, lewe ucho... – Powtarzam: przestaję widzieć. Przecież hełm spada mi na nos.”

ŻYDOWSCY CHIŃCZYCY

Klient w żydowskiej restauracji w Nowym Jorku stwierdza ze zdziwieniem, że obsługa składa się z samych Chińczyków, którzy doskonale mówią po żydowsku. Klient pyta właściciela: „Skąd pan wytrzasnął tylu Chińczyków mówiących po żydowsku? Ten odpowiada mu szeptem: Sza! Oni nic nie wiedzą, oni myślą, że uczą się po angielsku”

INTELEKTUALISTA

Patrzy na kioskę pasztetową i myśli o Picassie.

PIENIĄDZE

Mówi się, że pieniądze nie dają szczęścia. Sacha Guitry dodawał: Rzecz jasna myśli się o pieniądzach cudzych.

„PAN BÓG I JA”

Robert Browning zapytany przez swoją żonę, Elizabeth Barrett o zna-

czenie jednego z jego szczególnie trudnych wierszy odpowiedział: *Kiedy ten wiersz napisałem, rozumiał go Pan Bóg i ja. Obecnie rozumie go tylko Pan Bóg.*

KREDYT KRÓTKOTERMINOWY

Do paryskiego recenzenta muzycznego, wpływowego i przekupnego, zgłosił się młody śpiewak – Bataille, prosząc o dobrą recenzję i zapewniając, że odwdzięczy się za nią w gotówce, gdy tylko dyrekcja opery podpisze z nim stały kontrakt. Recenzent miał zwyczaj brać „z góry”, ale tym razem zaryzykował. Napisał w swojej recenzji: *Pan Bataille to młody śpiewak, który wiele obiecuje. Zobaczmy czy dotrzyma tego co obiecuje...*

RADA

Jeśli robi się interes z kimś do kogo ma się zaufanie, spisywanie umowy jest stratą czasu i papieru. Jeśli nie ma się zaufania – tym bardziej.

kasety video

książki

ksero

Korzystaj z naszych usług

Klub Wolni i Solidarni Poznań ul. Górna Wilda 106

Numer zamknięto 16.12.1990. Wydaje Ag. Inf. SW. Nakład 7000 egz. Redaguje zespół. Stałe punkty kolportażu Poznań, Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106 pon.–piątek w godz. 12.00 – 18.00, tel. 33-00-91. Wrocław, Biuro Partii Wolności ul. Kotłarska 41, III p. tel. 382-36, Księgarnia „Drugi Obieg” Biblioteka Wojewódzka Rynek 58. Korespondencję do Redakcji prosimy kierować pod adresy: Klub Polityczny „Wolni i Solidarni” Poznań ul. Górna Wilda 106. lub Biuro Partii Wolności ul. Kotłarska 41, 50-151 Wrocław. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach.

W SKRÓCIE

JARUZELSKI

PRZEPRASZA NARÓD

Wojciech Jaruzelski podczas telewizyjnego pożegnania z narodem powiedział: „Słowo *przepraszam* może zabrznieć zdawkowo. Innego jednak nie znajduję. Chcę więc prosić o jedno: jeśli czas nie ugasił w kimś gniewu lub niechęci — niechaj będą one skierowane przede wszystkim do mnie. Niech nie dotkną tych, którzy (...) nie szczędzili przez całe lata swego trudu dla odbudowy i budowy naszej Ojczyzny”. Słowa pozosta- wiamy bez komentarza.

Michnika „Polska rozsądna i rozgorączkowana”

„Chciałbym oczyścić, aby mimo wszystko zwyciężyła Polska rozsądna, a nie rozgorączkowana, aby Polacy stali się dumą Europy, przykładem, z którego czerpać będą inne narody, ale wydaje się to raczej niemożliwe. Wyraźnie widać, że zwyciężyła Polska rozgorączkowana, przepelniona emocjami, fobiami, strachem.”

W NOWEJ PARTII

Stefan Kisielewski, nesor polskiej publicystyki, w cotygodniowym wywiadzie udzielanym poznańskiemu tygodnikowi „Wprost” kategorycznie stwierdza: Nie lubię w polityce humanistów. Oni zwykle kierują się motywami, które całkiem się w polityce nie sprawdzają. Z pewnością w partii Mazowieckiego będzie wielu sympatycznych ludzi, ale ja do nich nie dołączę.

CZŁOWIEK SW W RZĄDZIE

W rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego tekę ministra zdrowia i opieki społecznej powierzono członkowi Solidarności Walczącej z Wrocławia Władysławowi Sidorowiczowi.

KORESPONDENCJA

„Najwyższy Czas” z 5 stycznia br. zamieszcza interesujący list otwarty lea-



dera Uni Polityki Realnej J. Korwina-Mikke do Czesława Kiszczaka. Zamieszczamy co pikantniejsze i ciekawsze fragmenty: „(...) W conajmniej jednym wywiadzie powiedział Pan, że ma Pan agentów w Solidarności — i to na takich szczeblach, że ludzie by ząbteili, gdyby się dowiedzieli. Z pewnością — podobnie jak w byłej NRD — w większości agentami byli działacze koncesjonowanych partii, koncesjonowanej opozycji, a także i niekoncesjonowanej opozycji. Na pewno, jako człowiek przeczony, przed spaleniem akt ma Pan listy

zabezpieczone — a jeśli nie, to ma Pan doskonałą pamięć... NIECH WTEC PAN PODA TE NAZWISKA! „(...) sytuacja podejrzania wszystkich o najgorsze rzeczy doprowadzi w końcu do tego, czego się obydwa obawiamy. Do eliminowania wszystkich partyjnych — bo kto wie? Do eskalacji oskarżeń (bo podejrzani będą, na zasadzie „łapaj złodzieja”, zatrudcać agenturalizm oskarżycielom). Wreszcie do kwawych rozruchów — panienia Pan, jak wieszano AVOŚZY w Budapeszcie i innych węgierskich miast-

ZDJĘCIE TYGODNIA



tach? Bo widzi Pan: tak naprawdę to my wiemy, kto dla Pana i pańskich poprzedników pracował. Możemy się jednak mylić! Czy nie lepiej rozładować, zapowiedzieć ujawnienie, pozwolić ludziom się przynąć — i wszystko skończy się gromkim śmiechem i ulgą.”

Liczymy na to, że pan Kiszcak po przeczytaniu tego listu roześmieje się gromkim śmiechem i westchnie z ulgą.